

Gorączka w Brukseli, Berlinie i Paryżu, a w Warszawie ... (cz. 1)



W kilku ostatnich wpisach starałem się przybliżyć Czytelnikom wzmagające się napięcie, związane z nadciągającym przesileniem w Brukseli. Skala tego przesilenia może być rzeczywiście wielka, a jego skutki bardzo daleko idące. Stąd gorączka udziela się już nie tylko głównym aktorom tej gry i angażuje ich coraz silniej w coraz brutalniejszą rozgrywkę. A w Warszawie?

Głównym pytaniem minionego tygodnia stało się, czy los von der Leyen już został przesądzony, czy jeszcze nie. Doszły tu dwie nowe okoliczności. Po pierwsze, zgodnie z oczekiwaniami „szczyt” niemiecko – francuski nie przyniósł istotnych rozstrzygnięć, a już zwłaszcza jakichkolwiek pozytywnych decyzji dla kandydatury forsowanej przez EPP. Sprawa ta ma olbrzymie implikacje w Niemczech. Formalnie bowiem, Scholz w ramach umowy koalicyjnej z FDP i Zielonymi zobowiązany jest do zgłoszenia kandydatów Zielonych na stanowisko przewodniczącego Komisji. Nie ma zatem mowy o zgłoszeniu von der Leyen przez rząd niemiecki, bo przecież dotyczyłoby ono kandydata z partii opozycyjnej. Pomijając już obecny stan napięć z CDU/CSU, takie działanie faktycznie przekreślałoby uzgodnienia koalicyjne. Ale na zgłoszenie kandydatów Zielonych Scholz też nie ma ochoty i tu jest przestrzeń dla poparcia kandydatury Draghiego, bez wysuwania niemieckiego kandydata. Von der Leyen może być zgłoszona w parlamencie przez frakcję EPP, ale wtedy musiałby ją zgłosić w Radzie Europejskiej jakiś inny niż niemiecki rząd. Nie jest to niemożliwe, ale politycznie dwuznaczne. Dotąd sytuacja taka miała miejsce tylko raz, kiedy rząd polski nie zgłosił D. Tuska na drugą część jego kadencji i został on zgłoszony przez rząd niemiecki. Jednak powtórzenie takiego numeru wobec kandydatki niemieckiej, byłoby polityczną katastrofą dla EPP.

Czynnik drugi – kto wie czy nie rozstrzygający los kandydatki niemieckiej – to nagłe wzmocnienie kończącego kadencję przewodniczącego Rady Ch. Michela. Ten belgijski liberał toczył przez ostatnie miesiące wojnę z przewodniczącą Komisji i – jak twierdzą dobrze zorientowani – gotów jest niemal oddać życie za jej klęskę. A ma to kapitalne znaczenie, bo to de facto on będzie decydował o trybie pracy Rady, która przecież odgrywa decydującą rolę w kreacji władz Unii.

Na to nakłada się jeszcze konflikt w obrębie CDU/CSU. Bezprecedensowy triumf F. Merza na ostatnim zjeździe CDU ma dwie konsekwencje. Po pierwsze oznacza anihilację wpływów pozostałości po frakcji A. Merkel, a tu i M. Weber i U. von der Leyen to byli czołowi europejscy eksponenci tego towarzystwa. Merz i jego ludzie chętnie utopią tych, którzy przez całe lata na zlecenie Merkel upokarzali ich na każdym kroku.

To również oznacza niemal całkowitą redukcję szans na uzyskanie nominacji na kandydata na kanclerza przez popularnego lidera CSU M. Södera. Do niedawna wydawało się, że to on będzie twarzą tej koalicji w nadchodzących wyborach, ale niewątpliwe sukcesy Merza w praktyce przesądzą jego los. Ma to swoje znaczenie w kontekście losu Webera, który jako pozostałość po Merkel i członek CSU, miał mocno lobbować za kandydaturą Södera. I teraz przyjdzie mu za to zapłacić.

To wszystko zaś oznacza, że w CDU nie ma silnej presji na sukces von der Leyen, a jej klęska wzmocni obecnie dominującą tendencję w tej partii. Do tego pozwoli i tak obciążyć za to rząd Scholza. Same pozytywy. Ale w tej grze jeszcze bardziej chodzi o coś innego. Ta sprawa ma dwa wymiary.

Po pierwsze Merz i jego ludzie reprezentują nurt silnie proatlantycki, wrogi Rosji i zorientowany na Waszyngton. Po prostu stara szkoła Kohla. I jako konserwatyści orientują się raczej szczerze na współpracę z europejskimi partiami konserwatywnymi. To już częściowo ich robota, że we frakcji ID doszło do wypchnięcia AfD, co radykalnie otwiera szanse na przyszłą współpracę z Le Pen i – zwłaszcza – z ECR.

Nakłada się na to bardzo fundamentalny zwrot programowy, dokonany na ostatnim zjeździe CDU. Powrót do tradycyjnych wartości chrześcijańskich oraz twarde zanegowanie znacznej części zielonego szaleństwa, uzyskała sankcję zjazdu. Ma to wielkie znaczenie, bowiem Weber wyczuwając zmianę atmosfery w Europie również epatował zmianą programu EPP w tym zakresie. Ale wyszła z tego jedynie propagandowa deklaracja, której wartość jednoznacznie przekreśla żyrowanie przez niego i von der Leyen wszystkich zielonych szaleństw brukselskich. Dzisiaj skutki tego ponosi już w dramatyczny sposób gospodarka niemiecka i dlatego CDU próbuje wyjść z tego obłądu. Wygląda na to, że w partii jest świadomość tego, że najmniejszą ceną jaka ona musi za to zapłacić, to jest właśnie pozbycie się von der Leyen i Webera.

W tym kontekście widać wyraźnie, jak bardzo skomplikowała się gra w Brukseli, Berlinie, Paryżu czy Rzymie. Wszyscy mają świadomość tego, że w nadchodzących miesiącach naprawdę rozstrzygnie się przyszłość kontynentu i poszczególnych państw. Nikt nie zasypuje gruszek w popiele.

A w Warszawie?

Premier rządu 13 grudnia, z wielkim zaangażowaniem wyżywa się na „X”. Nie ma czasu ani na jakąkolwiek politykę wewnętrzną poza podawaniem głupekowych wpisów, o problemach na granicy dowiaduje się z gazet i telewizji, nie robi nic, aby przygotować gospodarkę kraju na trudne wyzwania. Zakładam, że jest tak dlatego, bowiem ma on świadomość, iż nawet dla Webera i von der Leyen stał się ciężkim balastem. Tusk za nic nie chce pojąć, że oni bez ECR nie mają co marzyć o jakimkolwiek powodzeniu swojej gry. Zaś Tusk robi wszystko, żeby na skutek swojej wojny z PiSem, zablokować wsparcie ze strony tegoż ECR. Ta jego głupota jest dla nich po prostu zabijająca.

Niestety, po stronie PiSu też nie widać świadomości szansy, jaką ten rozwój sytuacji stwarza. Jakoś nie przebija się do świadomości liderów tej formacji, że będący na wyciągnięcie ręki sukces europejski, byłby potężnym paliwem wewnętrznym dla tej partii. Po wszystkich klęskach i niepowodzeniach na tym odcinku przez osiem lat, szansa na radykalne odwrócenie tej sytuacji jest tracona. Dziś J. Kaczyński i M. Morawiecki powinni odbywać permanentne podróże do Brukseli, Rzymu, Madrytu, Budapesztu, Bukaresztu, Paryża, Helsinek, Sztokholmu, Pragi czy Bratysławy, a nie opowiadać, że na coś tam w przyszłości nie pozwolą. Jeśli dzisiaj nie uda się zbudować politycznej konstrukcji, która będzie odgrywać w Brukseli decydującą rolę, to nikt nie będzie słuchał żadnych protestów wygłaszanych w parlamencie do pustych ławek.

Radzę o tym pamiętać.



Autor: Profesor Grzegorz Górski

Źródło: Tygodnik „Solidarność”